Płońsk uzyskał prawa miejskie od księcia mazowieckiego Siemowita, pomiędzy 1399 a 1412 rokiem. Przywileje lokacyjne nie zachowały się w oryginale. Znany dokument pisany pochodzi dopiero z 1527 roku. Król Zygmunt I potwierdzał w nim prawa miejskie, herb oraz pieczęć Płońska, który  był siedzibą kasztelani, a od XIV w. pełnił funkcję powiatu.

Odpis artykułu  
Alicji Kretkiewicz – Grąbczewskiej  
Zamieszczonego na łamach czasopisma „Barwy” nr 11/1975, s. 9

**„Jak to z herbem było”**

Historia, którą chcę opowiedzieć, wydarzyła się w dawnych czasach, tak dawnych, że nawet najstarsi ludzie ich nie pamiętają. W ziemiach należących do króla polskiego toczyła się wtedy wojna, która – nikt dziś nie wie, bo wiele ich przewaliło się przez polskie pola i lasy, których broniły warowne grody.

Jednym z nich był Płońsk, leżący w dolinie niewielkiej rzeczki. Dolina była bagnista i zdradliwa, co w tych złych czasach sprzyjało grodowi, gdyż niejeden wrogi oddział przepadł bez wieści w torfowiskach, zanim ujrzał pierwsze wieże miasta.

Sam zaś gród, zbudowany na niewysokim wzgórzu, był dość zamożny choć niewielki i mieszczanie radzi byli, że los ich tu osadził i żyć kazał. Markotno im było jednak, że herb Płońska dwie wieże na czerwonym polu przedstawiający ani pięknym, ani zaszczytnym nikomu się nie wydawał. Najbardziej zaś martwił się burmistrz.

Wkrótce jednak ważniejsze sprawy zaprzątnęły umysły zacnych mieszczan – oto rozeszła się wieść, iż wróg postanowił zdobyć miasto. Przygotowano się do obrony bardzo solidnie, gdyż przewidywano, że spodziewana napaść jest zemstą za nie zawsze przypadkowe fakty zaginięcia wroga na okolicznych błoniach.

Rzeczywiście niebawem za murami obronnymi zaroiło się od wojska, które wznosiło groźne okrzyki, a na zamek posypał się grad strzał, kamieni i płonących pochodni. Długo bronili się Płońszczanie, długo i dzielnie. Tak dzielnie, że wróg postanowił użyć ostatniego argumentu – działa. Dotąd spokojnie drzemało ono na tyłach; w tamtych czasach oręż ten dopiero zaczynał wchodzić w modę.

Zapanowała cisza; działo szczerzyło straszną paszczę, Płońszczanie przycupneli za murami nie wiedząc, czy wytrzymają one choć jeden wystrzał, nieprzyjaciel zaś spodziewał się efektownego widowiska, po którym bez przeszkód wtargnie do twierdzy. Zadrżało powietrze i oda wojska ujrzały wielką kamienną kulę, która szybowała prosto na zamkowy dziedziniec.

Nagle ktoś krzyknął – na zamkowym dziedzińcu, nie dostrzegając niebezpieczeństwa, bawił się kilkuletni chłopczyk. Jego los wydawał się przesądzony. Patrzący przymknęli oczy – nikt nie chciał widzieć co się dalej stanie. Spomiędzy budynków wybiegła kobieta i zrozpaczona rzuciła się między nadlatujący pocisk i dziecko.

I wtedy stało się coś, o czym do dziś szumią płońskie drzewa, choć nawet najstarsze z nich tych czasów nie pamięta. Kamienna kula zawisła nieruchomo w powietrzu, jakby się namyślając po czym powoli osiadła na murze, między dwiema basztami. I obrońcy i napastnicy nie wierzyli własnym oczom – dziecko i matka żywi stali na dziedzińcu, a ogromny, straszny przed chwilą pocisk, spokojnie spoczywał na murach jaśniejąc w słońcu już nie kamienny, ale złoty.

„Takie cuda potrafi zdziałać miłość matczyna” – pomyślał zamkowy kronikarz i zaraz opisał wszystko w bardzo wielkiej i bardzo grubej księdze. Mógł to uczynić bez przeszkód, bowiem zdziwieni i nieco przestraszeni wypadkiem wrogowie odstąpili od twierdzy.

Mieszczanie złotą kulę odesłali królowi, by miał za co nająć wojska dla obrony kraju. Król zaś doceniwszy niezwykłość wydarzenia, a także poświęcenie i hojność mieszczan, dodał miastu do herbu ową kulę, co nie chciała zrobić krzywdy kochającej matce i jej dziecku.

I tak jest do dziś – w herbie Płońska na czerwonym polu pysznią się dwie baszty – wieże, a między nimi, jak małe słońce, jak dobry żółty obłok – złota kula.

Alicja Kretkiewicz-Grąbczewska